Czy będziemy skazani na cyfrowy totalitaryzm?

30 września 2024

Internauci weryfikujący się cyfrowymi dowodami osobistymi i sztuczna inteligencja przeczesująca nasze prywatne rozmowy w poszukiwaniu niebezpiecznych treści. Brzmi jak antyutopia? A to tylko wspaniałe pomysły globalnych elit na uszczęśliwienie ludzi.

Gdy wiesz o wszystkim, co robi twój rząd - to jest demokracja.
Gdy rząd wie wszystko o tobie - to jest tyrania.

Rządzący zawsze znajdą jakiś dobrze brzmiący pretekst, aby jeszcze nieco uszczuplić i tak już ograniczone swobody obywateli. Próbują niezależnie od tego, czy chodzi o walkę z dezinformacją i z tzw. fake newsami, czy o skuteczniejsze ściganie przestępców. Zarówno organizacje międzynarodowe, jak i Unia Europejska, co chwilę przedstawiają nowe plany, jak sprostać tym wyzwaniom. A że po drodze utracimy część naszej prywatności? Cóż, to koszt, który wszyscy musimy ponieść dla dobra wspólnego. W końcu, czego się nie robi w imię postępu, bezpieczeństwa i powszechnej szczęśliwości, czyż nie?

Dobrodziejstwa cyfrowej kontroli

W ostatnim czasie serwis ITHardware.pl informował o rozterkach Billa Gatesa w kwestii obecnego sposobu funkcjonowania internetu. Obawy osławionego „filantropa" dotyczą związku między rozwojem technologii a wolnością słowa. Miliarder niepokoi się narastającą dezinformacją w sieci oraz szerzeniem zaawansowanych technologii, takich jak deepfake, które tworzą realistyczne, choć fałszywe komunikaty. W jego wizji panaceum okazuje się wprowadzenie cyfrowych dowodów tożsamości, które zmniejszyłyby anonimowość w internecie, jednocześnie zwiększając odpowiedzialność osobistą za publikowane treści. Jednak czy obowiązkowa weryfikacja internautów nie umocni kontroli ze strony państw i Big Tech, czyli gigantów technologicznych? Obawiam się, że nie byłby to skutek uboczny przyjętego mechanizmu, lecz realizacja podstawowego celu pomysłodawców.

Powszechna identyfikacja to tylko jedna z proponowanych strategii, ale są też inne, równie niepokojące. Jesienią 2023 roku Konfederacja zaczęła ostrzegać społeczeństwo przed planami Komisji Europejskiej dotyczącymi monitorowania rozmów online. Choć temat ten pojawił się już w 2020 roku, to w ostatnim czasie zyskał szczególną uwagę opinii publicznej. Mam na myśli ustawę Chat Control 2.0, której kluczowym elementem jest automatyczne wykrywanie podejrzanych treści na wszystkich platformach społecznościowych w UE. W praktyce oznacza to koniec szyfrowania wiadomości i ingerencję sztucznej inteligencji w nasze rozmowy na komunikatorach. Mimo że w czerwcu Rada UE w obliczu zmasowanej krytyki odroczyła głosowanie nad tym prawem, to nie należy przedwcześnie świętować. Patrząc realistycznie można założyć, że to nie ostatnie słowo eurokratów.

– Unia Europejska chce, aby nasze rozmowy, prywatne komunikaty w internecie, były automatycznie przeczesywane przez sztuczną inteligencję. Unia Europejska, jak w wielu podobnych

przypadkach, wykorzystuje jakiś szlachetny pretekst, w tym przypadku jest to walka z pedofilią. I Unia Europejska postanowiła, że każdego z nas potraktuje jako potencjalnego pedofila i będzie czytać, co my tam do siebie piszemy. Ta propozycja zakłada, że operatorzy będą musieli udostępniać wszystkie dane z komunikatorów oraz to, co mamy na dyskach, zawartość poczty email. I nie będą mogli tego szyfrować. Nad taką dyrektywą pracuje na poważnie Unia Europejska. Pracuje Parlament Europejski pod przywództwem pani komisarz Ylvy Johansson ze Szwecji. To nie są mrzonki. To nie jest sen Wielkiego Brata. To się właśnie dzieje. To oznacza koniec takich aplikacji, jak Signal czy Whatsapp, które oferują szyfrowanie od użytkownika do użytkownika. One będą musiały albo zmienić swój sposób działania, albo wyjść poza jurysdykcję Unii Europejskiej – alarmował w końcówce października 2023 roku Dobromir Sośnierz z Konfederacji.

Tusk nie chce być gorszy

Niestety nie tylko wielcy gracze kombinują, jak nam tu uprzykrzyć życie. Lokalni funkcjonariusze również nie chcą pozostać w tyle, a dobrym tego przykładem będzie kolejne posunięcie premiera Donalda Tuska, którego przeciwnicy polityczni oskarżają o zamiar wprowadzenia pełnej cenzury w

internecie. Chodzi o ustawę przyznającą specjalne uprawnienia szefowi Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ABW), uchwaloną na początku września. Co ważne, nowelizacja nie jest autorskim pomysłem obecnego rządu, lecz wynika z realizacji unijnych wytycznych. Nowe prawo pozwala szefowi ABW usuwać z sieci treści terrorystyczne… bez zgody sądu. Robi się niebezpiecznie, prawda?

– Moje główne zastrzeżenie dotyczy tego, na ile proponowana w tej ustawie droga odwoławcza do sądu będzie skuteczna. Czyli: czy dostawca treści nie zostanie postawiony w takiej sytuacji, powiedzmy, kafkowskiego procesu, ponieważ będzie się mógł odwoływać, ale nie będzie wiedział, od czego, a co gorsze, to odwołanie będzie rozpatrywane długi czas, bo sądy administracyjne mają bardzo odległe terminy. To spowoduje, że skutecznej ścieżki odwoławczej nie będzie, bo ten potencjalny spór przed sądem będzie już w dużym stopniu sporem o pietruszkę – punktował Wojciech Klicki z Fundacji Panoptykon w wywiadzie udzielonym TVN24, a więc stacji, która raczej sprzyja tzw. Koalicji 13 października.

Dla poszanowania faktografii należy wskazać, że w 2016 roku, a więc za PiS-u, uchwalono pierwszą wersję ustawy dotyczącej działań antyterrorystycznych. Omawiane przepisy pozwalały ABW blokować treści wyłącznie za zgodą sądu. Obecnie to ulega zmianie, co można postrzegać jako stopniowe przesuwanie granicy przez rządzących – obywatele prawdopodobnie nie zareagują wystarczająco ostro, ponieważ chodzi o „drobny" szczegół, a samo prawo funkcjonuje przecież od dłuższego czasu. Nie mówimy tu więc o nagłej rewolucji, lecz o pewnej „korekcie" – szkoda tylko, że naprawdę brzemiennej w skutkach.

Autorstwo: Jakub Zgierski
Źródło: NCzas.info